

Nr. 2. Poznań dnia 12 Stycznia 1878. **Rok I.**

KRWAWA NOC.

Powieść z niedalekiéj przeszłości

przez

Zygmunta Lucyana Sulimę.

(Ciąg dalszy.)

II.

W Zalesiu.

Któż z nas nie zna polskiéj wioski, zakopanéj gdzieś zwykle we wądole, otoczonéj lasami, czarnéj, skupionéj w sobie, garnącéj się jako stado piskląt do kościołka lub dworu? Komu we wspomnieniach dziecinnych, we wspomnieniach z minionéj a lepszéj doli, nie rysują się te chaty słomą zczerniałą kryte, odrapane, pochylone, biedne, rzadko wapnem wybielone, o jednem okienku zakopconem, krzywem? Kto nie zna tych żórawi na środku wioskowéj ulicy, tych płotów z leszczyny uplecionych, drzewek śliwowych małych, karłowatych, tego piasku i kałuż, wśród których wiejskie dzieciaki brązowe od słońca, budują pałace, zamki i jaskinie czarodziejskie.

Jaka tu uroczysta w dzień pracy panuje cisza. Po ulicy wiejskiéj przechadza się poważnie kogut z gromadą kur, za pan brat żyjąc z dzieciakami, co brudne, w jednéj koszulinie przepasane wązką krajką kąpią się w piasku, pod palącemi słońca promieniami. Owdzie na dachu piwnicy lub dołu kartoflanego na słońcu wyleguje się pies czarny lub bury, ów B u r e k nasz polski — niedaleko od niego na przyzbie, lub progu, ostróżnie patrząc na śmiertelnego swego wroga psa, rozciąga się wygodnie szary kot, czyściutki, niby przymrużając oczy a jednak wszystko widzi i mruczy poważnie swe marzenia. W przezroczystych, złotych blaskach słonecznych, kąpie się moc owadów, muszek, motyli, cichym brzękiem wtórując harmonijnéj muzyce wszechświata.

Jest coś uroczystego w tem wszystkiem. Po polach włóczy się biała przędza babskiego lata, wiesza u drzew, ścierni, krzaków.... Pod niebem z lazuru, czystem jak łza dzieciny, zatęsknionem i smętnem, w przejrzystych falach powietrznych pływa gromada ptastwa, czasem przebiegnie klucz dzikich gęsi lub kaczek, bocianów gromada co dąży w ciepłe kraje przed zimą naszą.

Bo była to jesień, owa łzawa polska jesień — najpiękniejsza u nas pora — owa jesień co w pochodzie wypadków, stanowiących tło naszej opowieści, zaciężyła brzemieniem trumnianego wieka na narodowym bycie. Sama strojna, złota i opalowa, ukraszona we wszystkie tęcze barwy, w korale, brylanty i poezyą bezbrzeżną, wlokła za sobą czarną chmurę niedoli, krwi i śmierci....

Czytelnik bowiem odgadł, że jesteśmy w krwawym owym roku 1863 — roku co w dziejach naszych jak widmo kościotrupie stać będzie — że jesteśmy w téj dobie, gdy zagraniczna interwencya wypoliczkowana przez zuchwałą Moskwę, co biła medale z napisem; P a k a r i t i e s j a z y c z n i k i i b o z n a m i B o c h! — gdy zagraniczna powtarzamy interwencya znikła z politycznego horyzontu Europy a bohaterskie polskie powstanie zostawione samemu sobie — że jesteśmy nakoniec w téj smutnéj chwili, gdy krwawy ale energiczny Rząd Narodowy Wrześniowy złożony z ultra-czerwonych, musiał się usunąć od władzy a na jego miejsce weszli nowi ludzie z Traugutem na czele, którzy ostatecznie pogrzebali polskie powstanie — słowem stoimy w chwili, gdy na konwulsyami szarpanem ciele boju o niepodległość pokazują się bliskie znaki śmierci, dla tych co głębiej patrzeć umieją.

Z pozoru powstanie nie słabło, ale owszem wzmagało się pod jesień — ale były to resztki téj energii jaką umiał przez miesięczny pobyt swój u władzy Rząd Wrześniowy wlać w członki powstania. Niedługo wszystko to zniknie i nastąpi straszna, śmiertelna cisza od Warty do Dniepru!...

W dobie więc owéj „gdy naród czuć było trumnianym, pachnącym modrzewiem" jakby powiedział Słowacki, w ogrodzie należącym do dworu wioski Zalesia, spotykamy się z nową a nader ważną postacią naszéj opowieści. Wioska Zalesie, leżąca w Sandomierskiej ziemi niedaleko miasteczka Klimontowa, zakryta wgórzami i sinemi lasy, istnie uroczym była kącikiem. Cicha, zagrzebana w zieleni, dziś złotem i purpurą strojnéj, wonna od lasów sosnowych i żywicznych, nosiła na sobie charakter dziwnéj ciszy i spokoju dziwnego.

W ogrodzie starym, wysadzonym olbrzymiemi klony, z których liście „ulewą padały" — w prześliczny jesienny poranek, ciepły i lazurowy od lazurowych niebios przestrzeni — smętny a poetyczny nad wyraz, przechadzały się dwie kobiety.

Jedna młoda, otulona w szal, w blado-liliowéj sukience, z głową odkrytą, z której bujnie kasztanowate spływały warkocze, harmonijnie odbijające od różowéj i przejrzystéj płci, szła wolno i szpicrutą ścinała niecierpliwie głowy astrom i różnobarwnym daliom, jakie gęsto około ścieżek rosły.

— Już tam niech pani co chce mówi, szeptała druga, staruszka zgarbiona ale rzeźwa jeszcze, a ja zawsze powiem, żeśmy tu wcale niepotrzebnie do Zalesia przyjechały.... W takich czasach i jeszcze na zimę uciekać z Warszawy... kto to słyszał!..

— Moja Kotkowska — ja się bawić nie myślałam i nie myślę — teraz wreszcie nikt się nie bawi... odrzekła młoda, zdzierając z szala długą nić z białéj przędzy, co się obficie po ogrodzie włóczyła.

— Ale tu o zabawę nie idzie paniusiu — ale takie czasy, takie czasy! Na najgorętszy czas przyjechałyśmy — my na wieś — ani noc ani dzień nie jest spokojny!

— To jest moim obowiązkiem! odrzekła lakonicznie pani.

— A! pani kochana, to niech sobie ten chytry ród męzki tak mówi, ale nie kobieta — co tu pani może zrobić? Boże kochany! same dwie baby we dworze, bez mężczyzny w takich czasach! Jużcić i w Warszawie nie jest spokojnie, zawsze te młodziki waryjują, ale taki zawsze bezpieczniéj, jak tu na takiem wygnaniu.

Na te słowa młoda kobieta zatrzymała się i zwracając twarzą do staruszki, z roskosznym uśmiechem na koralowych ustach, z błyskawicą jakąś w czarnych oczach, spytała:

— Moja Kotkowska czego się ty boisz?

— Czego się boję? Matko Boska Częstochowska, czego ja się boję?... oto boję się Moskali i tych waryatów naszych powstańców, szepnęła staruszka dalej oglądając się ostróżnie w około — przyjdą tu jeszcze kiedy, spalą, zabiją, zrabują, zniszczą z kretesem... Ja bo nic nie rozumiem dla czegośmy tu przyjechały — przez dwa lata pani w Warszawie siedziała, aż nagle sakum pakum marsz do Zalesia!..

— Bo chciałam odetchnąć świeżem wiejskiem powietrzem i użyć rozkosznéj naszéj jesieni!... odrzekła młoda pani z lekkim na twarzy rumieńcem.

— Ho! ho! ho! świeżem powietrzem.... użyć... odetchnąć jesienią.... rozkoszna wioska!... Ale moja paniusiu, już niech mnie przynajmniej tego pani nie mówi już ja wiem dla czegośmy tu przyjechały... ano znam ja panią, przecieć karmiłam cię sama...

— Więc dla czegoż ja tu przyjechałam Kotkosiu? spytała pani, ze swoim znów rozkosznym uśmiechem na koralowych wargach, podnosząc ściętą fioletową dalię i rwąc z niéj niespokojnie listki.

— Dlaczego? chce pani wiedzieć?

— Kiedy się pytam, to widać chcę...

— Oto dla tego, że pan Góra wyjechał a raczéj uciekł z Warszawy.

Na te słowa staruszki, purpurowy rumieniec oblał twarz i szyję młodéj kobiety — schyliła głowę i jeszcze gwałtowniéj obrywała dalią z liści.

— Pleciesz głupstwa, moja Kotkowska!

— O! już się pani gniewa, mówiła daléj staruszka, a przecież słowa moje to wierutna prawda — wyjechała pani z Warszawy spodziewając się, że z panem Górą łatwiéj się tu będzie można zobaczyć — a tym czasem nie — pan Góra niech się pani nie gniewa, ale to szalona pałka... do Zalesia nie przyjedzie, bo mu się pali w głowie....' tacy oni wszyscy, niby to kochają a nie myślą o tem, że narażają kobietę na niebezpieczeństwo.

— Na jakie niebezpieczeństwo? co też ty pleciesz Kotkowska! szeptała pani Adela ciągle krwi karmazynem oblana i piękna jak rubin w szmaragdów oprawie.

Na to pytanie staruszka się zatrzymała a łamiąc z komiczną rozpaczą ręce, zawołała:

— I pani się pyta na jakie niebezpieczeństwo? pani? a przecież tu wojna, zarzynają, mordują, palą... czyste piekło!... można umrzeć jak nic! Matko Boska Częstochowska — na jakie niebezpieczeństwo! A toć przecie widoczne, że tu śmierć nad człowiekiem wisi..

— Więc cóż czy ci tak żal życia Kotkosiu? szeptała pani patrząc w oczy staruszce, uśmiechając się rozkosznie.

— Mnie nie żal — ja już dość żyłam, ale mi ciebie paniusiu szkoda — takaś młoda, piękna, bogata — eh dodała machając niecierpliwie ręką, ci mężczyźni to nigdy nie mają rozumu... I ten pan Stefan, niby to się kocha, niby to, niby owo a prawdziwe szczęście wypuszcza z ręki.

Pani Adela na te słowa niby pochyliła się, chcąc zerwać prześliczny purpurowy aster, a w istocie by ukryć parę brylantowych łez i rumieniec co jak najpiękniejszy karmin wykwitł na jéj twarzyczkę. Miała jednak tyle mocy nad sobą, że spokojnie zapytała:

— I dla czegoż to Kotkosiu?

— Oto dla tego proszę paniusi, że kochając się i będąc kochanym przez taką ciepłą wdówkę jak pani, taką piękną, bogatą i z imieniem, tobym Panie Boże siedział cicho, Ciebie chwalił, ożenił się, ano i byłoby mi dobrze jak u Pana Boga za piecem. Ale co to młodym świszczypałkom o tem gadać.... Ojczyzna! Wolność!... ale piękna kobietka, z takiem oczkiem, z taką buzią, rączką, nóżką.

O! moja Kotkosiu przerwij... bo za daleko zajedziesz! zaśmiała się pani Adela.

— Ale bo mię to już gniewa proszę pani — kochać się, widzieć taką piękną kobietę przed sobą i tam latać djab... panie Boże odpuść, gdzie i po co... a to żebym ja była mężczyzną tobym panią chyba zjadła. A on co?.. poleciał, wyciągnął panią z Warszawy, przykuł do wsi i nara-

ził, pominąwszy już bitwę jakaby tu mogła zajść, ale i na to jeszcze, że oto taki szkaradny Moskal jak ten Zwirow ze Stanowa, lub obrzydliwszy jeszcze ten Springer z Wdzięków śmią się do pani umizgać — a pani musi ich przyjmować, gościć, bo co robić?... A to już jest nie pięknie ze strony pana Stefana Góry... Nieboszczyk mąż pani, choć go pani nie kochała, bo był stary i brzydki dziadyga ale był galant... tego by nie zrobił, co teraźniejsza młodzież.... sowizdrzały czyste!...

Pani Adela spoważniała. Dochodziły właśnie obie do tarasu ogrodowego, zkąd prześliczny rozwijał się widok. Rozległa dolina, opasana sinemi i złotemi smugami lasów, cicha i tęskna tuliła się w mgły białe, jesienne leniwie włóczące się po polach. Słońce przedarło się przez drzewa i opromieniło złotem bujne pani Adeli włosy — stała ona tak, jak święta w niebie słonecznem i patrzała tęskno przed siebie. Po chwili zwróciła się do staruszki i spytała:

— Czy też to prawda Kotkosiu, co mi stary Szmul mówi, że ten Springer ma oko na nas, szpieguje?

— To bardzo być może proszę pani — to jakiś Niemiec, przybłęda.

— Ale czegóż on chce odemnie? zawołała młoda kobieta z pewnym żalem i gniewem w głosie, tupiąc nóżką w ziemię.

— Tego chce, żeby pani za niego poszła -- toć to prosta rzecz — chce pieniędzy pani, wdzięków i młodości ten stary dziad.

— Żebym ja za... za tego Niemca poszła! gwałtownie szepnęła Adela, podnosząc głowę i jak lwica potrząsając swemi bujnemi włosami, zarumieniona cała od gniewu z błyskawicznem wejrzeniem, z rozwartemi nozdrzami, różowa cała od różowego słońca.

— A niech się pani nie unosi, rzekła na to spokojnie Kotkowska — gniew tu nic nie pomoże... gdzie nie można przeskoczyć trzeba podleźć. Ja zawsze mówię albo nie trzeba było z Warszawy wyjeżdżać albo teraz wszystko to z pokorą i poddaniem się znosić.

— Ale cóż ja mam znosić — przecież ja o niczem nie wiem — wyraźnie mi tego nie powiedział, że się chce ze mną żenić, nie oświadczył się wcale...

— Bo widzi, że mu pani nieprzychylna, że pani nim gardzi, więc nie chce się narażać, ale ja widzę, że grozi zemstą, bo to pyszna i zuchwała sztuka. Wie paniusia co jabym paniusi poradziła!

— No co?

— Oto zmienić z nim postępowanie... on tylko czeka na sposobność, by nam dokuczyć a pani wie, że w tych nieszczęśliwych czasach o to łatwo... jeźli więc pani kocha pana Stefana, który tu zapewne lada dzień wpadnie, to pani powinna oszczędzać tego Niemca... uśmiechać się, dać mu nawet rączkę do pocałowania — nie wzdragać się... ano co to szkodzi?..

— A jak mi się oświadczy?

— Hm! jak się oświadczy, powiedzieć mu ni tak ni owak, nie obiecywać, nie odmawiać... odłożyć na późniéj dla wojny lub coś podobnego... czy ja tam pamiętam, pani młoda to pani potrafi...

Uśmiechnęła się Adela i utopiła wzrok w nieskończonéj a złotéj od słońca i jesieni dali. Podumała nieco, poczem sięgnąwszy po maleńki złoty zegareczek, rzekła:

— Pół do dziesiątéj. Każ mi Kotkowska przygotować kąpiel...

Staruszka żywo się ruszyła a Adela zwolna, zadumana za nią poszła.

III. Przed burzą.

Zaledwie piękna bohatérka naszéj powieści wyszła z kąpieli rozgrzana, różowa, owinięta w cienką jakąś szatę która doskonale oddawała wszystkie zagięcia jéj marmurowego ciała — zaledwie spoczęła rozkosznie na szezlągu a pokojowa dziewczyna rozczesywała długie swoje kasztanowatych jéj włosów, na których jak uryańskie perły wieszały się wonne krople wody, opowiadając przytem swoim zwyczajem świeże dworskie ploteczki, których pani Adela chętnie słuchała jak wszystkie kobiety — gdy wbiegła do pokoju Kotkowska.

— Proszę pani, Szmul chce się koniecznie z panią widzieć.

— Szmul! a dobrze! niech tu przyjdzie zaraz! odrzekła żywo Adela.

— Tutaj! pani nieubrana -- wtrąciła Kotkowska.

— Ach co to znaczy — Szmul taki stary i żyd! wreszcie daj mi Zosiu okrycie i pantofle.

Owinąwszy się szczelnie, w różowych aksamitnych pantofelkach na małych nóżkach niecierpliwie oczekiwała wdówka Szmula.

— A co nowego Szmulu! zawołała szybko zwracając się do nadchodzącego, który zdjąwszy z głowy jarmułkę, poważnie się kłaniał.

Był to wysoki i siwy mężczyzna, ubrany w długi czarny chałat, o oczkach siwych i bystrych, brodzie długiéj i powadze w całem ułożeniu.

Stał i kłaniał się przy drzwiach, wkładając powoli na głowę jarmułkę.

— No co nowego Szmulu! powtórzyła pani.

— O dużo nowego jaśnie pani — dużo! a naprzód że mamy w naszych stronach gości.

— Jakich gości? spytała Adela żywo zwracając się do Szmula, nie zważając na to, że okrycie nieco się uchyliło i białe jak marmur i jak marmur twarde odkryło ramiona.

— Dziś w Jeleniowie nocował Chmieliński z oddziałem, szepnął żyd zbliżając się i oglądając ostróżnie.

— Chmieliński! powtórzyła Adela... widziałeś go Szmulu? jego oddział?

— Dla czegoby nie? byłem właśnie wtedy u mego zięcia, pani wie, co jest pachciarzem w Jeleniowie.

— Cóż, jak wyglądają! dużo ludzi? ach! jeszczem też nie widziała całego oddziału! muszę jechać do Jeleniowa — Chmielnickiego znam z Warszawy! Zosiu! zawołała obracając się do pokojowéj, każ zaprzęgać do powozu, zaraz! gorączkowo wołała Adela.

— Ale pani nieuczesana jeszcze nieubrana! wtrąciła dziewczyna.

— I wreszcie nie będzie już po co jechać do Jeleniewa — dodał żyd.

— A to dla czego? dla czego Szmulu? czy już wyszli?

— Może ich jaśnie pani zobaczyć nie wyjeżdżając z domu.

— Jakto! jakim sposobem?

— Bo tu przyjdą, odrzekł spokojnie żyd.

— Tu przyjdą! mówisz, że tu przyjdą? pytała zaciekawiona, zaczerwieniona cała, zkąd o tém wiesz?

— Widzi jaśnie pani, szepnął żyd — ja tam znam porucznika Kurę — tak się nazwał teraz, ale on się inaczéj nazywa ja to wiem...

— Więc cóż? więc cóż?

— On jest teraz adjutantem przy naczelniku, to on mnie mówił.

— Mówił ci, że tu przyjdą do Zalesia!

— A tak — dziś na noc.

— A! mój Boże, szepnęła Adela z gorączkową łzą w oku, jakżem szczęśliwa. Zosiu! wołaj Kotkowskiéj — niech w piecu palą — chleba upiec jak najwięcej — zabić wołu, baranów — żywo! żywo! daj mi suknią trzewiki prędzéj, prędzéj Zosiu!

I z gorączkowym pośpiechem zerwała okrycie ze siebie, nie zważając już na żyda — piękna, zarumieniona cała, z okiem błyszczącem łzą i wruszeniem.

— Niech no się jaśnie pani uspokoi, szepnął żyd — powoli, powoli i niech się jaśnie pani okryje, bo się może zaziębić, dodał z uśmiechem — ja mam jeszcze coś ważniejszego powiedzieć.

Adela żywo spojrzała po sobie i dostrzegłszy, że jest w grubym negliżu, spłonęła szkarłatnym rumieńcem i zasłaniając się rękami, wybiegła do drugiego pokoju ciągnąc za sobą Zosię.

Po chwili wyszła znów żywo, ubrana w ciężką suknię wełnianą, kończąc ubranie pytała daléj:

— Co ważniejszego masz jeszcze Szmulu? co?

— Jaśnie pani — oto to, że coś wiem o panu Górze — szepnął żyd z uśmiechem.

Adela na te słowa poruszyła się, oblana cała krwi purpurą i hamując ręką silne bicie serca, spytała na pół spokojnie, na pół gwałtownie:

— Co wiesz Szmulu? mów proszę cię!

— Oto jak Chmieliński stał w Chlewskiéj Woli, był u niego pan Góra z Krakowa.

— Był?! westchnęła ciężko, jak gdyby jéj ciężar z serca spadł — a nie wiesz po co?

— Trochę to ja wiem — ale nie na pewno — więc może nie wypada mówić.

— Ale mów... mów! przecież wiesz że mię to... że mię to.. obchodzi — dodała czerwieniąc się cała.

— Bo widzi jaśnie pani, pan Góra teraz jest komisarzem od Rządu Narodowego przy Czachowskim — a Czachowski właśnie teraz z okrutnie wielkim oddziałem ma tu wejść z Galicyi... więc może pan Góra przyjechał prosić Chmielińskiego o pomoc — ja nie wiem, ale tak myślę, bo po cóż by tu przychodził Chmieliński?

— Zapewne, zapewne Szmulu — ale nie mów o tem nikomu.

Czyż to mnie jaśnie pani potrzebuje mówić, dodał z powagą — ja żyd, ale kocham Polaków!

— Wiem, wiem o tem poczciwy Szmulu — rzekła głaszcząc go po twarzy z czarownym swoim uśmiechem — ale widzisz, kiedy wy już o tem wiecie to źle, to znaczy, że ta rzecz jest głośna a tak być nie powinno.

— O! to się jaśnie pani myli — jak ja wiem, rzekł z dumą, to nikt nie wie — ja jaśnie pani powiem, bo kiedy mnie jaśnie pani ufa, to i ja powinienem ufać — my mamy swoję pocztę, mnie żydkowie wszystko donoszą i z Galicyi i z Prus — bo stary Szmul to głowa żydków w téj okolicy, a jak stary Szmul powie, milczeć, to nikt ani pary z ust nie wypuści. Otóż ja wiem, iż Czachowski wejdzie, ale nie wiem czy Chmieliński mu będzie pomagać — i tylko tak sobie kombinuję.

— A czy tędy pójdzie Czachowski?

— A tędy — bo to najbliższa droga od granicy w lasy Što-Krzyskie — ja to wiem, bo żydkowie go będą przez granicę przeprowadzać i przeprowadzą dobrze, bo Szmul przykazał... oto wszystko.

— Czy i pan Góra z niemi wejdzie? spytała niby od niechcenia, odwracając się twarzą do okna i obrywając listki z przepysznego kwiatu kaktusowego

— Nu ja nie wiem, odrzekł żyd z uśmiechem, ale zapewne wejdzie, żeby choć na godzinkę do Zalesia wpaść.

Adela na te słowa jeszcze bardziéj obrywała kaktus nic nie mówiąc. Żyd milczał także chwilę, poczem zbliżając się do wdowy, szepnął cicho.

— Wie jaśnie pani, że ja wcale z tego nie kontent, że tu Chmieliński będzie w Zalesiu.

— A to dla czego? zawołała żywo zwracając się do żyda.

— Bo ten Springer z Wdzięków może jaśnie pani zaszkodzić — on może się z jaśnie panią chce żenić — jak mu jaśnie pani odmówi, to się będzie mścił — bo to niedobry człowiek, gorszy żyda.

— Ależ on mi się nie oświadczył — ja o nim nie wiem...

— Nie oświadczył się to prawda, ale że oświadczy się ja to wiem.

— Więc co robić Szmulu? pytała gorączkowo zbliżając się do żyda.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TELEFON.

Jeszcze to nie takie dawne czasy, i wszyscy starsi z pomiędzy nas wiekiem pamiętają je dobrze, kiedy nietylko podróżowanie z wielkiemi połączone było trudnościami, wiele kosztowało czasu i pieniędzy, lecz kiedy nawet samo korespondowanie znacznie było kosztowniejsze i bardziéj utrudnione aniżeli teraz. Jeżeli cofniemy się pamięcią jakie lat czterdzieści w tył, to sobie zapewne przypomnimy te czasy, w których chcąc się np. z Poznania dostać do Krakowa, trzeba się było prawie tydzień cały wlec pocztą, wozem ciasnym, nizkim i niewygodnym, narażać przytem bezustannie na szwank życie a przynajmniéj kości. Wtedy to podróże do obcych krajów, które dziś w kilkanaście godzin za tanie pieniądze odbyć można, tak były kosztowne, że je tylko albo majętni ludzie, albo tacy których interesa do tego zmuszały, przedsiębrać mogli. Nie inaczéj miała się rzecz z korespondowaniem; list który dziś przez czterdzieści ośm godzin całą nieomal Europę od wschodu do zachodu, lub od północy ku południowi za kilka groszy polskich przebiega, potrzebował do tego znacznie dłuższego czasu, a wiadomości polityczne,

handlowe i prywatne przebiegają teraz po drutach w kilku sekundach lub minutach najodleglejsze przestrzenie. Ulepszenia te i bardzo wiele innych zawdzięczamy niezaprzeczenie niesłychanemu wzrostowi i rozwojowi, jakie mu nauki przyrodzone w ostatnich czterdziestu latach uległy, a do takich prześlicznych wynalazków tygodni nieomal ostatnich, z którym czytelników pisma naszego zapoznać pragniemy, należy telefon, czy przyrząd służący „do mówienia w dal.“ —

Mało zapewne jest już dziś ludzi pomiędzy tymi, którzy jakie takie szkólne oddebrali wykształcenie, którzyby nie wiedzieli cośkolwiek o elektryczności czyli galwanizmie, jakim sposobem tę niepojętą siłę natury wywołujemy, jak się ona na zewnątrz objawia, w jak rozmaity sposób została zastósowaną, i jak podziwienia godną jest ona w objawach swoich. To też nie będziemy się długo nad nią rozwodzili i powiemy jedynie o niéj tyle, ile koniecznie powiedzieć tu o niéj trzeba, a to jest, że ile razy dotykają się ze sobą powierzchnie dobrze wygładzone dwóch blaszek metalowych np. miedzi i cynku, albo też metalów i kwasów, wtedy pomiędzy niemi powstaje elektryczność, którą sobie wyobrażamy na podobieństwo płynącéj wody jako prąd lub strumień, płynący od jednego metalu do drugiego, a od tego drutem, zewnątrz oba metale ze sobą łączącym, do pierwszego napowrót powracającym. Niemniéj jest wiadomem, że siły strumienia tego używamy do telegrafowania czyli do przenoszenia myśli naszych w czasie najkrótszym z jednego miejsca na drugie, które to telegrafowanie na tem polega, że strumień elektryczny, przez drut miedziany i przez ziemię przechodzący, nadaje drutowi temu własność przyciągania do siebie żelaza i dawania tym sposobem na większe odległości znaków, które nam przedstawiają litery alfabetu i tym sposobem służą do wzajemnego porozumiewania się.

Kto zna historyą odkryć i wynalazków ludzkich, temu nie jest tajnem, że bardzo wiele rzeczy, które dziś powszechnie są znane i używane, i o których teraz dzieci w szkole się uczą, dawniéj największym uczonym nie było znanych, że wiele składało się na to lat i często najzdolniejsze mozoliły się głowy, zanim doprowadzono je do tego stopnia doskonałości, na jakim je obecnie znamy. Pismo nasze będzie się wedle sił i potrzeby o to starało, aby czytającéj publiczności, a przedewszystkiem młodszéj podawać od czasu do czasu przykłady, z którychby uczyć się mogła, jakto tylko usilnéj, wytrwałéj pracy pojedyńczych ludzi wyższych zawdzięczamy wszystkie nieomal najpiękniejsze wynalazki, które nietylko nam okazują Stwórcę i wszystkie dzieła Jego i w coraz nowéj, dotąd nieznanéj, a zawsze równéj i niedościgłéj doskonałości, lecz nam zarazem służą do wygody i uprzyjemnienia życia, i które są chlubną nagrodą usilnéj pracy i wytrwałości ludzkiéj.

Zboczyliśmy na chwilę od wynalazku, który opisać mamy, aby okazać, że i elektryczność różne przebiegała koleje, że i tutaj rozum ludzki nie zadowolnił się dotychczasowemi rezultatami i korzyściami, jakie już w zastósowaniu siła ta znalazła, lecz że badając daléj nie spoczął prędzéj, dopóki nam się nie udało zastósować jéj do bezpośredniego przenoszenia głosu, śpiewu i mowy ludzkiéj z jednego miejsca na drugie. Zasługa rzucenia pierwszéj myśli, czyby nie można przez druty telegraficzne przenosić głosu ludzkiego należy się dwom Niemcom, Wertheimerowi i Reissowi, a szczególnie drugiemu, który nawet w roku 1861 wymyślił przyrząd, służący do bezpośredniego przenoszenia głosu, i nazwał go telefonem. Przyrządem tym, którego opisywać nie mamy tutaj zamiaru, można było rzeczywiście za pomocą zwyczajnego strumienia elektrycznego takiego, jakiego używają na stacyach telegraficznych do przesyłania depesz, z jednego miejsca na drugie w dowolnéj odległości leżącego, posyłać melodye śpiewane; aparat ten nie miał najmniejszego podobieństwa do przyrządu, o którym tutaj mowa i był niedokładnym, że o użyciu go w praktyce mowy być nie mogło, i dla tego wcale nie próbowano praktycznie go zastósować. Dla tego też całkiem nieuzasadnionem jest twierdzenie tych, którzy wynalazek obecny uważają za niemiecki. Przyrząd który tutaj opisać zamierzamy, a który z pierwotnym przyrządem telegraficznym Reissa prócz nazwy nic zgoła nie ma wspólnego, wynalezionym został przez Graham Bell, Amerykanina, profesora przy uniwersytecie w Bostonie, i jak wszystkie odkrycia prawdziwie wyższe, odznacza się nadzwyczajną prostotą w konstrukcyi i w użyciu. Na figurze (1),

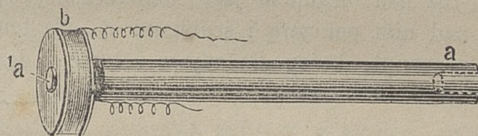


fig. 1.

wyobrażającéj wewnętrzne urządzenie całego aparatu w jednéj trzeciéj części naturalnéj wielkości, przedstawia wałek, oznaczony literami *a a* bardzo silny magnes z dobréj stali, którego jeden koniec, tak zwany biegun magnetyczny, na figurze po lewéj stronie leżący, jest nieco cieńszy i wpuszczony do cewki drewnianéj *b*, podobnéj do wałka drewnianego na jakich we fabrykach cienkie nawijają nici. Na cewce téj jest nawiniętych kilkadziesiąt metrów drutu miedzianego czystym jedwabiem oprzędzonego, którego końce, na fig. 1. widzialne, dochodzą aż do przeciwległego bieguna magnesu, i wpuszczone są do śrubek, oznaczonych literami *h h* (na fig. 4 i 5), na przeciwległym końcu drewnianéj oprawy umieszczonych. Nad biegunem *a* leży na okładce drewnianéj blaszka z bardzo cienkiéj blachy żelaznéj, wielkości dwutalarówki, figurą 2 osobno przedstawiona, dobrze do drzewa przylegająca, która nie dotykając się samego końca magnesu, ledwo przecież kilka milimetrów od niego jest oddalona. Blaszka ta, pociągnięta cienką warstwą bezbarwnego lakieru, który ją chroni od wilgoci i rdzy, nakrytą jest pokrywką

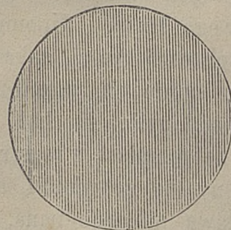


fig. 2.

z drzewa okrągłą, kopankowato wydrążoną, (fig. 3). mającą w środku otwór wielkości trojaka, przez który widać blaszkę, i która służy do mówienia w aparat i do słuchania drgań blaszki. Pokrywka ta, przytwierdzona czterema śrubkami do aparatu, przytrzymuje blaszkę nad końcem magnesu,

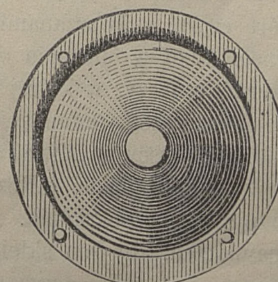


fig. 3.

chroni ją od pogięcia i uszkodzenia i dopełnia cały aparat.

Fig. 4. przedstawia przyrząd złożony, jak wygląda w przecięciu:

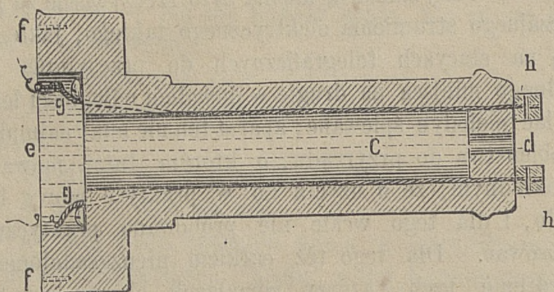


fig. 4.

Środek, oznaczony literą *c* przedstawia magnes, *d* śrubkę żelazną, przyciągającą magnes do oprawy z drzewa; litery *g g* pokazują miejsce, w którym leży cewka nawinięta drutem, którego końce wchodzą do śrubek *h h*; litera *e* oznacza miejsce blaszki żelaznéj w przeciwnym końcu magnesu, tuż nad biegunem jego umieszczonéj i przytrzymywanéj nad nim pokrywą i śrubkami *f*. Na tem kończy się cały przyrząd, który złożony w osłonie z drzewa wygląda tak, jak go przedstawia figura 5.

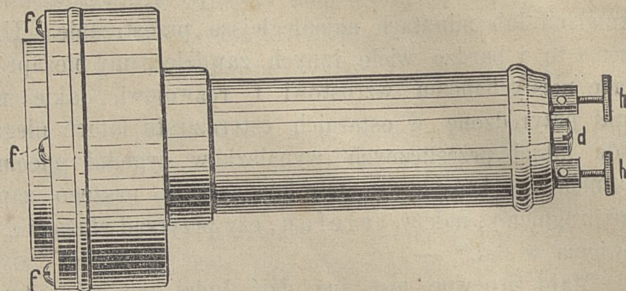


fig. 5.

Przyrząd ten telefoniczny oprócz innych zalet, które poznamy później, tem się jeszcze od dotychczasowych aparatów do telegrafowania służących odróżnia, że do mówienia i do słuchania, czyli do posyłania i do odbierania depeszy nie potrzeba dwóch różnych aparatów, lecz że dwoma zupełnie równemi dokonać tego można.[1]

(Dok. nast.)

[1]) Fabryka pp. Leppin i Masche w Berlinie, Alte Jacobstr. 83 ma znaczny zapas telefonów. Cały telefon kosztuje 12,50 mrk do tego dwa druty 50 metrów długości mające 7,50 mrk. W Poznaniu do zobaczenia i kupienia w księgarni J. Chociszewskiego

Książę Adolf i bogini szczęścia.

Powieść fantastyczna z pradawnych czasów.

Gdzieś na Wschodzie dawnemi czasy, gdyż jeszcze przed narodzeniem Chrystusa Pana, żył książę Adolf, który objąwszy po rodzicach w spadku księstwo, panował bardzo roztropnie. Był to grzeczny, przystojny kawaler, pełen cnót i wspaniałych przymiotów. Główną jego zaletą była wielka i niezwykła dobroczynność, tak dalece że potrzebującym ratunku gotów był służyć nietylko majątkiem, ale nawet życiem. Nie dziw też, że go nietylko panowie, ale i wieśniacy powszechnie kochali i cenili.

Książę Adolf, choć był jeszcze w młodym wieku, posiadał jednakże bystry rozum i chęć wielką do pracy. Nie spuszczał się na swoich ministrów, ale sam wglądał we wszystkie sprawy swego kraju. Upominał ustawicznie sędziów o wymiar sprawiedliwości, zakazywał surowo przewłoki w sprawach sądowych, dawał chętnie posłuchania i najbiedniejszym poddanym, słuchał cierpliwie zażaleń, a jeżeli były słuszne natychmiast je rozstrzygał. Dla téj przyczyny nietylko własny lud go wielbił, ale i w postronnych krajach brzmiała sława młodego pana, a nawet nieznajomi, te pochwały słysząc, życzyli mu wszelkich pomyślności.

Z tem wszystkiem książę, jako młodzieniec, nie gardził rozmaitemi rozrywkami, a mianowicie miał pasyą do polowania, na które często z dworzanami wyjeżdżał. Tak też wyjechał pewnego razu z licznym orszakiem szlachty i dworzan do obszernéj puszczy, w któréj było bardzo wiele różnych zwierząt. Tam rozbito namioty, pozapalano ognie i zgotowano obiad. Wszyscy myśliwcy przy odgłosie wybornéj kapeli bawili się doskonale. Rozprawiano wesoło, a już najwięcéj o przyszłem polowaniu. Gdy noc zapadła, legli wszyscy w namiotach, aby sen skleił ich powieki.

Nazajutrz rano, jak tylko zorza zarumieniła niebo, zaraz nadworny marszałek kazał uderzyć w myśliwskie trąby, dając tym głosem znak do rozpoczęcia polowania. Każdy się zrywał czemprędzéj z posłania i udawał się na przeznaczone miejsce. Służba przyprowadzała panom okulbaczone konie, inni sworowane ogary i charty na smycze łowili: słowem cały obóz był w poruszeniu. Zagrzmiały trąby myśliwskie, których echo rozlegało się daleko po kniejach. Do tego koncertu i psy się dołączyły, wyjąc okropnie i skomląc. Na odgłos téj muzyki zwierzęta leśne trwożyć się zaczęły przeczuwając, że czeka ich walka z psami i z ludźmi.

Gdy wszyscy stanęli w poblizkiéj kniei, wtedy wielki łowczy porozstawiał na stanowiskach panów, myśliwców i służbę, a wnet zapuszczono w głąb lasu psy gończe. Brytany i pokurcze zostały na boku, nad polem trzymano na smyczach charty, aby ścigały wymykające się sarny, lisy i zające. Gdy psy wytropiły ślady zwierząt, wnet zaczęła się wrzawa po lesie. Rozległ się szczęk oręża, tentent koni, krzyk myśliwców i dojeżdżaczy i ryki ściganego zwierza. Tu dziki, napadnięte przez brytanów, wściekle się bronią, atoli na nic obrona, gdyż giną pod kordelasami myśliwców; tam zajadłe niedźwiedzie krzaki z ziemi wyrywają i mężnie walczą; owdzie lamparty w krwawe z pokurczami zapasy idą; owdzie rosochate jelenie i dzikie woły psom rogami wnętrzności wyrywają; tam lew rozjuszony gotuje się do ataku na myśliwców. Wszędzie ruch, walka, hałas, a krew zwierząt broczy knieję. Panowie i dworzanie, uzbrojeni w oszczepy i halabardy, śmiało idą naprzód i zaścielają ziemię obfitemi łupami.

Książę Adolf zaraz w początkach polowania zoczył szybko pędzącego nosorożca, którego bardzo trudno ubić. Młody książę, zagrzany szlachetną żądzą, puszcza się na swym arabczyku za uciekającym zwierzem. Mknie koń arabski jak strzała, atoli jeszcze prędzéj umyka nosorożec zdając się tylko ziemi dotykać, aż też niedługo zniknął z oczu. Książe markotny, że taka rzadka zdobycz mu się wymyka, darł się gwałtem przez gęste krzaki, sądząc że jeszcze zoczy uciekającego zwierza. Tymczasem las stawał się coraz gęstszy, iż bardzo trudno było się przedzierać.

Wnet i wieczór się zbliżył, a zatem z powodu ciemności trzeba było zaprzestać pogoni, o ile że koń już na siłach ustawał. Zsiadł tedy Adolf z konia i puścił go na paszę a sam usiadł pod rozłożystym dębem. Rozmyślając nad owym nosorożcem, popadł niedługo w sen głęboki. Spał dość długo, gdy wtem przebudził go ze snu srożący się wicher, który pędził przed sobą czarne chmury. Huk piorunów i trzask łamiących się gałęzi zniewoliły Adolfa, że dopadłszy konia, chciał szukać gdzie schronienia. Ale tu dopiero trudna rada: gdzie się udać? w któréj jesteśmy stronie? i jak się dostać do swoich? Ciemna noc roztoczyła już swe ponure skrzydła. Grzmoty huczą, wiatr wściekły wyje, a ciemność na świecie taka, że ręki przed oczyma trzymanéj nie można zobaczyć. Czasem tylko błyskawica oświeci nagle okolicę, aby tym więcéj uwydatnić okropność położenia. Gdziekolwiek się obrócić wszędzie drzewo lub gałąź stoi na zawadzie.

Książę Adolf był w nader smutném położeniu. Pochwycił za trąbkę i zaczął trąbić na wszystkie strony w nadziei, że jego towarzysze głos ten usłyszą i na pomoc mu pospieszą. Trąbił i trąbił, ale nadaremnie nadstawiał ucha na odzew, echo tylko wracało. Nie dziw, że nie słyszeli, gdyż o kilka mil był od nich oddalony. Dworzanie wprawdzie, nie widząc księcia, rozbiegli się na wszystkie strony, trąbili, wołali, szukali, ale napróżno. Czynili jeszcze poszukiwania nazajutrz aż do późnéj nocy, gdy jednak widzieli, że ich trudy i starania daremne były, przyszli do tego przekonania, że książę, ukrywszy się gdzie przed burzą, został przez drapieżne zwierzęta pożarty. Po kilku dniach z wielkim smutkiem wrócili do stolicy.

Nikt nie opisze żalu mieszkańców, gdy się rozeszła wieść, że książę nie żyje. Wszystek lud płakał i wyrzekał i modlił się w świątyniach o powrót dobrego pana. Szukano wszędzie po lasach, ale nie znaleziono ani śladu jeźdzca ni konia. Porozpisywano listy do postronnych królestw, ale znikąd nie nadeszła pożądana odpowiedź. I stało się, że już lud nigdy nie oglądał swego dobrego pana.

Matka wiatrów daje Adolfowi schronienie.

Długo się błąkał książę Adolf po puszczy, aż w końcu głód i sen dokuczać mu mocno zaczęły. Każdéj chwili groziło niebezpieczeństwo życia, gdyż łatwo zwiérz dziki mógł śmierć zadać, a można téż było się rozbić pomiędzy drzewami. Rumak zmęczony co chwilę przystawał. Wtedy Adolf wzniósł oczy i ręce ku niebu, błagając nieśmiertelnych bogów o miłosierdzie. Wówczas panowało na świecie bałwochwalstwo, ztąd nie dziw, że książę bogów o pomoc prosił. Następnie puścił arabczykowi wolne cugle mówiąc: „Mój miły towarzyszu, może będziesz szczęśliwszym ode mnie, idź zatem gdzie ci się podoba, abym tylko stanęli na bezpiecznym gościńcu.“

Rumak wolno puszczony, postępował zwolna naprzód. Pan jego nic nie mówił, gdyż wiedział, że koń w nocy daleko lepiéj widzi od człowieka.

Nie upłynęło téż ani pół godziny a las zaczął się przerzadzać, burza ustawała, aż niedługo niebo się wypogodziło. Wszedł księżyc, a przy jego blasku spostrzegł książę nizką chałupkę między drzewami. Zbliżywszy się pod okienko, zobaczył mały ogień na kominku, kilka garnuszków i staruszkę przy nim siedzącą. Tu począł się z sobą naradzać: czy zapukać i prosić o nocleg czyli téż dać pokój, a przenocować gdzie na ustroniu w lesie dla zachowania życia, gdyż tu może być łatwo gospoda zbójców. Już chciał odchodzić, atoli zgłodniały żołądek i przemokłe suknie wzięły przewagę, śmiało tedy zastukał. Staruszka zapytała się słabym głosem: „Kto tam?“ — a on się odezwał: „Zbłąkany podróżny prosi o przyjęcie, przyjmijcie mnie, a ja wam to nagrodzę.“

Zaraz się porwała z ławy staruszka, drzwi otworzyła a spojrzawszy na pódróżnego, rzekła: „Ach dla Boga! głos tego podróżnego zdaje mi się być znajomym.“ Adolf sądził, że jest blizko stolicy, kiedy go znają, a zatem się uspokoił.

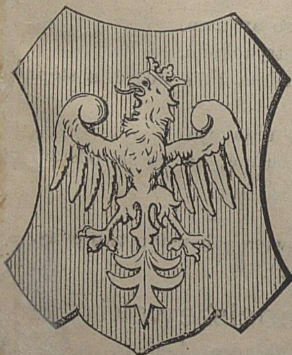
Staruszka wprowadziła go do pokoju, mówiąc: „Ach książę Adolf! Cóż tu wasza książęca Mość porabiasz i jakim dziwnym przypadkiem do nas zabłądziłeś?“

Na te słowa się książę nieco zastanowił, ponieważ mówiła: „do nas“, sądził zatem, że tu może mieszkają rozbójnicy, lecz cóż miał zrobić — nie wiele tedy myśląc rzekł: „Czy mię znasz, moja matko?“ A ona mu na to: „Wszak tu często w téj puszczy polujesz.“ — „Ale ja was nigdy nie widziałem.“ — „Lecz ja was często widziałam i słyszałam rozmawiającego — „Kiedy tak“, odpowie książę, „to będę miał u ciebie nocleg bezpieczny.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

HERBY MIAST POLSKICH.

Gniezno.



Stałą rubrykę w „Lechu“ mają stanowić herby miast polskich, tak aby co numer przynajmniéj jednego miasta herb był podany. Nasamprzód będą uwzględnione miasta wielkopolskie, Prus Zachodnich i Śląska, a następnie miasta innych dzielnic polskich. Chętnie przyjmujemy wszelkie rady, wskazówki i objaśnienia w téj mierze.

Lech według podania znalazł gniazdo białych orłów w miejscu, gdzie dziś Gniezno się wznosi. Na pamiątkę tego wypadku miał miasto zbudować i od gniazda Gnieznem nazwać. Najprawdopodobniéj rzeczywiście Gniezno od gniazda nazwę wywodzi. Na pieniądzu Bolesława Wielkiego, znajdującym się w zbiorze p. Józefa Krasickiego, jest wyraźny napis: „Civitas Gnesdun.“

W każdym razie Gniezno należy do najstarożytniejszych miast polskich. Słyszałem w okolicach tego miasta podanie ludowe, że Gniezno już nawet przed potopem istniało, a po potopie odszukano z dokumentów dawne miejsce i na nowo miasto zbudowano. Nie trzeba tego podania brać w dosłownem znaczeniu; lud chciał wyrazić dawną starożytność Gniezna i wyraził, jak umiał.

Gniezno było pewien czas stolicą książąt i królów polskich, później miejscem koronacyjném aż do Wacława, a stolicą arcybiskupów gnieźnieńskich i prymasów Polski

aż do dni ostatnich. W czasach rozerwania Polski po zgonie Bolesława Krzywoustego było Gniezno jedynym łącznikiem ziem polskich.

Miasto to w dawnych czasach liczyło może z jakie 50,000 mieszkańców, gdyż dostawiało za czasów Bolesława Wielkiego 6500 żołnierzy, po okropném spustoszeniu Szwedów 1704 r. pozostało tylko 60 mieszkańców, dziś jest ich około 10,000.

Najpiękniejszą ozdobą Gniezna jest starożytna katedra, matka wszystkich polskich kościołów, wznosząca się na górze Lechowéj. Tu spoczywają zwłoki Dąbrówki, za któréj sprawą zostało w Polsce zaszczepione chrześciaństwo.

Herb Gniezna stanowi biały orzeł z koroną, podobny do orła, jakiego używali Piastowie. X. Gdeczyk w „Przewodniku Historycznym po Gnieźnie" twierdzi, że orzeł siedzący na gniaździe jest herbem Gniezna.

Lirnik Mazowiecki w „Bitwie Racławickiéj" wspomina o białym orle polskim, co dziś mocy nie ma. Zaiste nie ma mocy, ale wyrugować go nie podobno, kiedy po tylu wiekach używają go jeszcze urzędownie jako godła miejskiego.

Wiadomości z dziedziny literackiéj, nauki i sztuki.

Kłosy zaczęły w styczniowym numerze drukować znakomitą powieść Elizy Orzeszkowéj *Meir Ezofowicz* z illustracyami Andriollego. *Kraszewski* drukuje obecnie Skrypt Flemminga (Tygodnik Illustrowany) Sąsiedzi, powieść z XVIII wieku (Bluszcz). Upiór (Strzecha) Hołota (Wiek) Wilczek i Wilczkowa (Biesiada literacka) Athenaeum zapowiada w styczniowym zeszycie studyum tego pisarza: Ignacy Krasicki, jego dzieła i życie. Tytan literatury naszéj nie próżnuje!

* * *

Powieści historycznych J. I Kraszewskiego które obejmować w sobie mają całą historyą polską wyszło sześć: „Stara Baśń" (3ty) Lubonie (2ty) Bracia Zmartwychwstańcy (3) Masław (2) Boleszczyce (2ty) Synowie królewscy (3ty)

* * *

Znany pisarz historyczny Kaźmirz Jaróchowski wydał nowe studyum p. t. „Sprawa Kalksteina."

* * *

Jan Zacharyasiewicz napisał dwie nowe powieści „Inne drogi" dla Biesiady literackiéj i „Krzesło królewskie" dla Dziennika Poznańskiego.

* * *

W styczniowym zeszycie Athenaeum, piśmie miesięcznym wychodzącem w Warszawie, znajduje się jedno z najlepszych w języku polskim studyów o J. W. Göthem przez Piotra Chmielewskiego.

* * *

Wictora Hugo „Histoire d'une crime" w tłumaczeniu streszczoném polskiém drukują obecnie trzy pisma „Biblioteka romansów i powieści" „Bluszcz i Kłosy."

* * *

„Księżna Gorysława" tragedya w 5 aktach przez Juliana z Poradowa (pseudonim) przedstawioną była w teatrze poznańskim przy bardzo wielkim udziale publiczności. Tragedya ta jest znakomitéj wartości i długo zapewne będzie zdobić repertoar naszego i w ogóle polskiego teatru. Obszerniejszą ocenę podamy później, tu tylko zaznaczamy, iż publiczność poznańska a szczególniéj prowincyonalna licznie na przyszły raz, kiedy sztuka ta powtórnie dawaną będzie, zgromadzić się powinna. Palma wieczoru należała się panu Podwyszyńskiemu.

Jak się dowiadujemy, rozdano w tutejszym teatrze role z tragedyi Józefa Kościelskiego „Arria."

Łamigłówki,

ułożone przez J. Chmielewskiego.

1.

Weź trzy głoski, złożysz zwiérzę;
Gdy po trzeciéj dasz literze
Głoskę nadto, przedmiot będzie,
Który dobrze znany wszędzie,
Choć nóg, głosu nie posiada,
Podróżuje, odpowiada
I roznosi ludziom wieści,
Pełne pociech lub boleści.

2.

Pierwsza i druga w wodzie bywa sroga,
Trzecia, lecz sama, jest tylko litera;
Druga i pierwsza jest mieszkaniem Boga,
Trzecia i druga znaczy bohatera,
Którego ludy znają na północy,
Który, choć karzeł, znany z wielkiéj mocy,
Całe — jest sławne w włoskich dziejach sztuki,
Zkąd pędzel czerpie wzory dla nauki.

3.

Przy stawianiu domów tego używają,
Weź jeden głos z przodu — przy okrętach mają,
Przedmiot ten i długi, gruby i skręcony;
Weź jeszcze głos jeden, lecz z odwrotnéj strony,
A będziesz miał rybę, co u nas jadana,
Odwróć to słowo, a będzie rzeka znana.

Warunki przedpłaty na „Lecha".

„Lech" wychodzi co tydzień w Poznaniu od 1 Stycznia 1878 r. co sobotę w objętości najmniéj jednego arkusza.

Zapisywać można albo wprost w redakcyi albo na wszystkich pocztach krajowych i w cesarstwie austryackiém.

Przedpłata ćwierćroczna na pocztach wynosi 2 marki czyli 20 sbr., którą najpóźniéj trzeba do 27 Grudnia 1877 złożyć, następnie trzeba płacić 1 sbr. więcéj.

Przedpłatę roczną w ilości 8 marek czyli 2 tal. 20 sbr. albo też 5 złr. walutą austr. przyjmuje tylko redakcya.

W Poznaniu zapisywać można w księgarni J. Chociszewskiego ul. Wodna nr. 15 za 20 sbr. ćwierćrocznie, za co się odstawiać będzie do mieszkania.

Przedpłacicielom „Lecha" dostarczać się będą od czasu do czasu za zniżoną cenę książki i ryciny.

Dodatek inseratowy „Lecha" przyjmuje ogłoszenia w cenie 25 fen. za rządek. Przy większych zamówieniach ustępstwo ceny.

Wszelkie listy i zamówienia do redakcyi i ekspedycyi „Lecha" dochodzą pod adresem: „*Lech Poznań*".

Józef Chociszewski
redaktor i nakładca „Lecha".

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu. — Z drukarni J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński) w Poznaniu.